



Warszawa d. 30 Lipca (11 Sierp.) 1878.

№ 32

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcja i Ekspedycja główna: ulica Czysta № 415 (nowy № 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Zwodne Znaki. — Listy Jana Śniadeckiego. — Pani Gerard, przez Emila Zolę. — Listy z Włoch. III. — Kronika Lwowska. III. — Przesady, podług Herberta Spencera. III. — Pamięć, przez Feliksa Bogackiego. (ciąg dalszy). — Kronika Powszechna. — Przegląd Polityczny. — Wiadomości Handlowe. — Do wszystkich. — Echa XXXII.

ZWODNE ZNAKI.

Ostatnie zachowanie się rządu pruskiego mogło rzeczywiście ludzi wolnomyślnych przejąć istotną obawą. Prawodawcze wnioski, rozwiązanie parlamentu, oficjalnie ogłoszone dążenia reakcyjne, wreszcie skłonność do zgody z Watykanem—wszystko to było aż nadto wyraźną zapowiedzią, że w rządzie niemieckim, który dotąd najenergiczniej dusił klerykalną hydrę, zacznie się jakiś ruch wsteczny. Gdyby ten ruch ograniczył się tylko na sferach najwyższych i powstał gdzieindziej, możnaby o jego skutki być spokojnym. Ale on powstał w Niemczech, gdzie naród, oczarowany wielkością i zasługami swych politycznych przewodników, łatwo ulega ich wpływowi i chętnie idzie tam, dokąd go poprowadzą. Nie też dziwnego, że wybory do sejmku były przedmiotem gorączkowego oczekiwania. Jak się kraj zachowa? jakich ludzi na przedstawicieli swoich wybierze? czy uzna wyrażoną przez cesarza Wilhelma potrzebę cofnięcia się wstecz? czy ograniczy prawa społeczno-politycznej swobody? czy wreszcie, idąc za natchnieniami poprzedniego sejmku, stanie naprzekór kierunkowi reakcyjnemu? Na wszystkie te pytania Niemcy dały już odpowiedź rządowi za pośrednictwem świeżo obranych deputatów. Komplet ich w szczegółowym rozkładzie na stronnictwa urzędowo ogłoszonym jeszcze nie został, ogólna wszakże liczebna proporcja w przybliżeniu wiadoma. Mianowicie lekko osłabły partie socjalno-liberalne, znacznie postępowe a wzmogły się konserwatywne. Rezultat ten, niewiele różniący się od poprzedniego składu sejmowego, nie znamionuje na pozór nic nowego. Tymczasem wpatrzywszy się głębiej w akt wyborów, znajdujemy w nim bardzo pouczające wskazówki. I tak, sejm rozwiązany został z powodu socjalistów i dla zyskania takiego ciała prawodawczego, któreby ich w silne karby ujęło. Rząd więc niejako zapytał narodu: czy nieprzyjaciele moi są przedstawicielami twojej woli? I cóż naród na to odrzekł? Wybrał wprawdzie mniej socjalistów, ale w sumie dał im nieporównanie większą liczbę głosów niż poprzednio. To znaczy, naturalnie, że do życzeń rządu z tej strony się nie przychylił. Nie dość na tem. Obok socjalistów ma obecny rząd niemiecki drugą grupę nieprzyja-

ciół—zachowawców. Otóż ta grupa znacznie się pomnożyła, dając mu drugie votum nieufności, a ztąd wniosek prosty, że rząd ów nie ma dziś w kraju tego uznania, jakim się przechwala i na jakie liczby może. Wydawniło się to w obecnych wyborach nietylko względem powodzenia socjalistów i bezwzględnie zachowawców, ale nadto porażkami pojedynczych deputatów, których zwycięstwo zdawało się być zapewnione. Dość tu wspomnieć wyborcze klęski kanclerskiego syna i generała Moltkego. Sądząc *a priori* możnaby na pewno przypuścić, że gdziekolwiek swoją kandydaturę postawił młody Bismark lub tyle ceniony bohater francuzko-pruskiej wojny, jednogłośnie wybrani będą. Tymczasem przypuszczenie to zawiodło zupełnie. Blask świetnych czynów wielkiego dyplomaty i wielkiego wodza nie zdołał tak olśnić wyborców, ażeby zamknąć oczy, rzucali do urn białe dla kandydatów galki. Fakt ten ma, zdaniem naszym, bardzo wielkie znaczenie. Dowodzi on bowiem, że Niemcy są bardzo niezależni od politycznych czarów, że bardzo trzeźwo patrzą na swoje interesa i że nie tak łatwo zapierają się tych idei, które w swym cywilizacyjnym rozwoju nabyli. Potępiając w większości socjalistów i ubóstwiając swoich genialnych sterników, nie poddali się jednakże tym uczuciom w ostatnich wyborach i nie dostarczyli rządowi posłów, potrzebnych jego nowym widokom. W różnojęzycznym gwarze, nad którym głos wskrzeszonych projektów prawodawczych ciągle dominował, dosłyszeli oni żywe tętna głębokich i najważniejszych wymagań swego życia. Nie chcemy wicherzycieli—zdają się oni mówić—ale nie chcemy również dotkliwych ścieśnień; powierzamy nasze losy Bismarkowi i Moltkowi, ale nie pozwolimy im się samowolnie wstecz cofnąć. Wypadek taki jest dostatecznym, ażeby obawę ze zwycięztwa zachowawców do przyszłego sejmku w żywiołach wolnomyślnych uspokoić. Konserwatyści zwyciężyli tylko jako negatywny a nie pozytywny pierwiastek; jako stronnictwo przeciwstawiające się pewnym dążeniom pruskiego gabinetu, a nie jako wyrażające w całości usposobienia narodu. Postępowcy niemieccy mogą być spokojni o społeczno-umysłowy kierunek państwa, gdyż jakkolwiek zachowawcy zyskali w przyszłym sejmie poważne stanowisko, nie zdolają oni ani poprowadzić narodu do Kanossy,

ani zatamować mu swobodnego rozwoju. Potężne cywilizacyjne siły, ciągle czynne w organizmie Niemiec, nie dadzą się żadnemu ministeryalnemu lub sejmowemu postanowieniem sparaliżować. Wielkie idee postępu, jakie oświata w życie społeczeństwa składa, nie giną marnie i nasiąkają ujemnymi wpływami chwili. Dziś Niemców żadna polityczna siła nie jest w stanie zakuć w okowy politycznego ścieśnienia, chociażby setki papieżkich nuncyuszów zjechało do Kissingen i zjednało sobie setki Bismarków. Gotowi jesteśmy przypuścić, że energiczny rząd pruski wyzyska chwilowe usposobienie kraju dla jakiegoś ruchu wstecznego, ale nie wierzymy, ażeby wyzyskiwanie to mogło być długotrwałem. Niemcy znosili dotąd cierpliwie wszystkie niekonstytucyjne postęпки swej naczelnej administracji, wszystkie jej ciężary, bo zjednywała ona ich, między innymi względami, swoim liberalnym nastojem. Gdy jednakże obok tych brzemion poczują na sobie brzemień politycznej, społecznej i umysłowej reakcji, niezawodnie upomną się o swoje cywilizacyjne prawa. Zresztą nie pomijajmy jednego ważnego względu: wszakże są oni głównie protestantami. Gdy więc znikną słuszne powody walki katolików, gdy zajątrzone stosunki ulagodzą się kosztem swobód narodowych, protestantyzm rozwinie też samą, tylko nierównie groźniejszą w ich ręku, chorągiew, pod którą dziś papieści bój toczą. Wtedy, rozumie się, rząd straci w nich tę potężną podstawę, na której dotąd tak śmiało działał. Za zbyt pewne to niebezpieczeństwo, ażeby ks. Bismark w swych układach z nuncyuszem papieżkim przeciw sobie je wyzywał i ażeby przyszłą politykę na krańcu sejmowego konserwatyzmu oparł. Jeżeli go dotąd nie opuścił wielki rozum, nie pozwoli on nigdy na zupełne wyemancypowanie się duchowieństwa, na „państwo w państwie” i na te społeczno-polityczne ograniczenia, których żywioły wsteczne, ośmielone szaleństwami Hödlów i Nobilingów, się domagają. A jeżeli wreszcie na krok taki się odważy, to straciwszy wiarę w jego mądrość, nie stracimy jej w cywilizacyjne instynkta niemieckiego narodu. Dziś może on być w okresie reakcji, ale z pewnością przyjdzie bardzo bliski moment, w którym reakcja ta będzie musiała ustąpić miejsca bardzo energicznemu postępowi.

Listy Jana Śniadeckiego.

Wszędzie i zawsze naród najczęściej zwraca się w przeszłość ku tym, którzy nietylko siłą ale i swobodą ducha najdalej po za swój czas wybiegali. Wszyscy tak zwani wolno myśliciele daleko mniej należą do współczesnych niż do potomnych; i dla tego gdy uczczeni i szanowani opiekunowie nietykalności przekonani ogólnie wyznawanych, jak oklaskani za życia aktorzy, po śmierci w zapomnieniu giną, protestanci umysłowi, często przez współczesnych wyklęci, żyją długo, wieki, póki tylko do duchowego pokrewieństwa z potomnymi przyznać się mają prawo. W nielicznym gronie filozofów naszych Jan Śniadecki wyróżnił się rzeczywiście postępowo, i dla tego jest on do dziś przedmiotem tak szczególnej uwagi, szacunku i dumy, że imię jego powtarza się niestannie, pisma zyskują coraz nowe uwielbienia, a życie zajmuje najmniejszym szczegółem. Nic też dziwnego, że zarówno co do krytycznego opracowania jak i zebrania biograficznego materiału myśliciela tego spotkał w literaturze naszej wyjątkowo szczęśliwy los. Do wielu poświęconych mu publikacji przybyła znowu jedna, zawierająca jego *Listy* prywatne, pisane od r. 1788 do 1830 w sprawach Akademii Krakowskiej do Januszewicza, Kollątaja, prymasa Poniatowskiego i innych. W r. 1865 M. Baliński wydał w Wilnie olbrzymie dwutomowe dzieło, zatytułowane *Pamiętnik o Janie Śniadeckim*, w którym pomieścił także bardzo wiele i jego listów. Do rąk wszakże Żupańskiego dostał się nowy ich zbiorek, którego zaledwie drobna część znajdowała się w *Pamiętnikach* Balińskiego, który więc w osobnym wydaniu z przypisami Kraszewskiego wystąpił.

Listy te podzielono na pięć grup. Pierwsza odnosi się do czasów sejmu czteroletniego. Zatargi w Akademii między jej członkami, obojętność lub samowola Komisji Edukacyjnej, naruszającej prawa tej instytucji lub zaniebującej jej słuszne potrzeby, spory o udział zakonnic w szpitalu, konieczność zakupienia nowych fizykalnych i astronomicznych przyrządów, uszczuplane lub wstrzymywane fundusze Szkoły — oto są przedmioty, dostarczające Śniadeckiemu

ciągłych powodów do korespondencji z przyjaciółmi i dostojnikami w obronie Akademii. Używa on wszystkich środków przekonywania, potrąca o najrozmaitsze uczucia, wynajduje coraz nowe drogi, aby tylko zapobiedz stratom swojej Szkoły. Widząc te jego wysiłki, niezmordowane zabiegi, wreszcie samodzielność w występowaniu, zdaje się, że to walczy jej założyciel, ojciec, a co najmniej główny zarządca. Tymczasem w tej epoce Śniadecki nie był jeszcze wzniesiony po nad godność profesora i sekretarza Akademii, a wreszcie prezesa jej kolegium fizycznego. Śmiało wszakże samopoczucie swej wyższości, gorące przywiązanie do losów Szkoły tak go rozgrzewa i do działania w jej imieniu pobudza, że obok niego prawie nie dostrzegamy tych, do których rola przewodnictwa z urzędu i obowiązku należała. Jak odważny kapral, widząc zbliżające się niebezpieczeństwo i nieudolność dowództwa, wybiega on przed szeregi i prowadzi je do walki. Nic też dziwnego, że gdy po sejmie konstytucyjnym nieśmiertelnej hańby konfederacja zagroziła Akademii swą chciwością w rozszarpywaniu dóbr publicznych, Akademia wydelegowała Śniadeckiego na sejm grodzieński do obrony nietylko swoich środków, ale nawet istnienia. Od tej chwili zaczyna się druga serya listów z Grodna pisanych, gdzie Śniadecki z niezmordowaną energią, upadając pod brzemieniem trudów i kabał, szarpał się ze złodziejami publicznego grosza i krzyżował ich plany ułożenia statutu, któryby krakowską Szkołę przyprowadził do materialnej nędzy. Odrącał przyjaźnie obłudne lub chłodne, odrącał przyjaźnie niedołężne poparcie króla — kto dziś uwierzy, że jeden tylko Sivers popierał rzeczywiście usiłowania Śniadeckiego. Głównie dzięki jemu uratował on to, co uratować było można. A poznawszy moralny stan konfederacji, nie weźmiemy za przesadę tych słów jego rozpaczliwego listu: „Polak więcej dokazać może przez chciwość, niż Tatar i najsroższy barbarzyńca przez okrucieństwo”. Ale opowiedzmy pokrótce, z pomocą *Pamiętników* Balińskiego, o co chodziło.

Konfederacja, unieważniwszy postanowienia sejmu konstytucyjnego, rozwiązała także i Komisję Edukacyjną, ustanowiwszy na jej miejsce dwie: dla Litwy i Korony. Akademia Krakowska, nie otrzymując skutkiem zamieszania w kraju ani dochodów ze

swych dóbr, ani profesorskich pensyj, nakłatawszy się daremnie do swej zwierzchności i króla, musiała wreszcie wysłać kogoś na sejm, któryby jej nieszczęściom zapobiegł. Nadewszystko szło o to, żeby jej nie zgrabiono majątków, nie zniesiono lub nie odebrano środków istnienia. W tym celu dano pełnomocnictwo Śniadeckiemu i ze skromnym fundusikiem wyprawiono go naprzód do Warszawy a potem do Grodna na nierówną i bardzo w swych skutkach wątpliwą walkę. Tu przekonawszy się, że z niegodziwością Kossakowskich, Zabiellów, Ankwiłowiczów i Ożarowskich poradzić sobie trudno, wyteżył wszystkie siły dla zjednania sobie, jedynie zdolnego im przeciwstawić się, ambasadora Siversa i w dodatku króla. Oprócz tych dwu patronów zyskał innych i tak dałece sprawą swoją ruch wywoływał, że nie bez słuszności biskup wileński raz odezwał się, iż „Akademia Krakowska więcej ma protektorów niż Rzeczpospolita”. A mimo to zadanie było bardzo trudne. Naprzód konfederacja w wigilię sejmu odebrała dziedziczne Akademii dobra Opactwa Miechowskiego z dotychczasowej dzierżawy i oddała w posesję Głębockiemu. Śniadecki zwrócił się z zażaleniem do Siversa, a widząc przygotowania do rabunku funduszy szkolnych przez magnacką chciwość, ułożył wspólnie z rektorem Akademii Wileńskiej, Poczubtem, i podał do stanów sejmujących notę, w której domagał się dla obu Szkół Głównych utrzymania nauczycielski ego składu, przyznania etatów, wreszcie za twierdzenia nadanych statutów i przywilejów. Ale wyznaczona do rozpatrzenia postanowień konfederacji delegacja nie obiecywała przychylności dla funduszy edukacyjnych, tembardziej, że zostawała pod silnym wpływem ludzi, którzy z tego źródła poczerpnąć mieli. W tajemnicy ułożyli się konfederacji podzielić między siebie szkolną zdobycz. Prawdziwie cudownym wszakże wypadkiem udało się Śniadeckiemu tajemnicę tę przeniknąć. Niejaki Jeziorowski (wyjmujemy ten fakt z *Pamiętników* Balińskiego), szlachcic krakowski, był wówczas sekretarzem konfederacji. Widok prac i poświęceń niezmordowanego profesora, widok wreszcie tego, co się działo, poruszył jego sumienie. Spotkawszy więc raz na ulicy w Grodnie Śniadeckiego, odprowadza go na stronę i oświadcza, że chociaż należy do konfederacji, nie może patrzeć na niecne knucia,

ECHA WARSZAWSKIE.

XXXII.

W koleji swego wydawnictwa po *Wolterze* A. Świętochowskiego Spółka Nakładowa puściła w świat tegoż rozmiaru traktat o *J. Roussie*, również z powodu stuletniej rocznicy śmierci tegoż filozofa przez p. P. Chmielowskiego napisany. Autor w jasnym i gruntownym wykładzie ujął w główne wyrazy całą działalność wielkiego myśliciela. Wytycznymi punktami tej jego działalności jest *Nowa Heloiza*, *Rozprawa o wpływie nauk i sztuk, o nierówności pomiędzy ludźmi*, *Umowa społeczna*, wreszcie *Uwagi nad rządem Polski*. Wszystkie z tych dzieł interesują nas jako ludzi cywilizowanych, ale ostatnia szczególnie jako Polaków. To też traktat p. Ch. przeważnie zastanawiający się nad tą pracą Roussa, która naszych dziejów dotyczy, nie powinien przejść mimo uwagi naszego czytającego i myślącego ogółu. Bo pominawszy wzgląd prostej ciekawości, nie należy nadto zapominać, że dzieła Roussa wywołały wpływ na praktyczne stosunki naszej przeszłości i przesiąkło do uchwał tak doniosłych, jak postano-

wienia sejmu czteroletniego. Zbytkiem byłoby podawać treść książki kilkadziesiątstronicowej, którą za 30 kop. każdy łatwo nabyć może; ograniczamy się więc tylko na znaczeniu jej wyjścia i na ogólnych słowach uznania dla tak słusznie cenionego w nauce jej autora.

Redakcyja *Wędrowca*, której odezwe niedawno pomieściliśmy, krząta się gorliwie koło materyałów do zapowiedzianego przez nią *Geograficznego słownika królestwa polskiego i krajów przyległych*. Jeżeli publikacja ta dokonana będzie w sposób należyty, czego od poważnej i sumiennej firmy spodziewać się można, stanie się w naszej literaturze dziełem wielkiej doniosłości. Ponieważ zaś dzieło takie wymaga koniecznie udziału sił zbiorowych, faktów na miejscu zbieranych, więc redakcyja odwołuje się do wszystkich, chcących poprzeć jej pracę, o nadsyłanie wszelkich wiadomości w zakres *Słownika* wchodzących. Komunikując tę odezwe czytelnikom naszym polecamy ją gorąco ich uwadze i dobrej woli. Sądzimy, że kto tylko zastanowi się nad celem swojej usługi, z pewnością jej nie odmówi.

Gazeta Sądowa pisze: „Pewien włościanin chciał wydzielić synowi część posiadanego

przez siebie nieruchomego majątku. Ponieważ znacznie bliżej miał do rejenta zamieszkałego w mieście sąsiedniej gubernii, aniżeli w swoim powiecie, stawił się więc przed rejentem w mieście S. i zeznał akt w formie darowizny, w którym powiedział, że darowizna czyni się z tej części majątku, którą, według obowiązujących w kraju ustaw, darujący bez wyraźnych notaryalnych zastrzeżeń nie ma prawa rozporządzać. Akt ten, jako dotyczący przelewu praw na nieruchomości niemającą hipoteki i zdziałany przed notaryuszem niewłaściwym, ze względu na położenie nieruchomości, w myśl art. 37 ustawy o wprowadzeniu do nas ustawy notaryalnej, w ciągu roku powinien być przedstawiony pod zatwierdzenie sędziego pokoju miejsca położenia nieruchomości. Jakoż akt przedstawiony został, lecz sędzia pokoju za twierdzenia odmówił, dając za przyczynę, iż akt sporządzony został z naruszeniem praw osób trzecich, albowiem w samym akcie powiedziano, iż darujący rozporządził majątkiem, którym podług prawa nie mógł rozporządzać.

Inni włościanie z tegoż powiatu, przed tymże rejentem sporządzili akt, którym pięciu współsukcesorów osady włościańskiej części swe sprzedał szóstemu współsukcesorowi. Gdy i ten akt został przedstawio-

że uchwalono tajemnie projekt, który na następny posiedzeniu sejmu pewnie zamienionym będzie w prawo, a który znaczną część funduszu Akademii Krakowskiej odda kilku stronnikom konfederacji. To rzekłszy, wymagał, żeby odtąd z nim Sniadecki w czyjejkolwiek obecności ani słowa nie mówił i żeby go nawet unikał. Dalsze zaś objaśnienia o spiskach na fundusz edukacyjny przyrzekł dawać w umówionym miejscu, gdzie się tajemnie schodzić mieli. Uwiadomiony w ten sposób Sniadecki pobiegł natychmiast do Siversa. Gdy mu wszystko opowiedział, ten zdziwiony i rozgniewany, zawołał: „Jakto, więc Ankiewicz odważył się zwieść mnie tak haniebnie? Wszak oni wszyscy mnie zapewnili, że to są dobra pojezuickie, które się jeszcze zostały do rozdania!” Posłał po Łobarzewskiego, adjutanta królewskiego i napisawszy bilet, kazał mu natychmiast razem ze Sniadeckim jechać i oddać Ankiewiczowi, gdziekolwiek go znajdą. Nadto — pisze dalej Baliński — zalecił Łobarzewskiemu, aby tę kartkę protokołu, na której projekt uchwały miał być zapisany w tej chwili wydrzeć, protokół mu odesłać, a samemu Ankiewiczowi zapowiedzieć, że osobiście odpowie ambasadorowi za to, iż go śmiało oszukiwał. Łobarzewski i Sniadecki znaleźli Ankwicza i innych Targowiczów u Z (abielły?) na kolacji. Weszli obaj nie meldując się, a Łobarzewski, oddawszy bilet, powtórzył dosłownie wyrazy ambasadora. Nastąpiło powszechne zamieszanie. Bilet Siversa obiegł z rąk do rąk w koło stołu, a wiloze spojrzania, skierowane ku Sniadeckiemu, przekonywały go, że nie mylono się co do sprawy tej niespodzianki. Rozumie się, że atak ten nie zniechęcił Targowiczów do dalszej walki, ale i Sniadecki, ciągle uwiadomiany tajemnie przez Jeziorkowskiego o wszystkich zamysłach, psuł skryte sieci przy pomocy ambasadora. Ten ostatni, znudzony wreszcie tą ciągłą szarpaniną, zapytał krakowskiego akademika, czyby nie obmyślił jakiego sposobu ostatecznego przecięcia ustawicznie wikłanej sprawy. Wtedy Sniadecki podał Siversowi dawno obmyślany, a dotąd tajony projekt unieważnienia wszystkich postanowień konfederacji względem funduszu edukacyjnego. Projekt ten podobał się ambasadorowi, który rozkazał go na sejm wnieść i zatwierdzić. Był to najdotkliwszy grom dla rabusiów, którzy nie mogąc się inaczej zemścić, opuścili w dyaryuszu sejm

owym tę uchwałę, chociaż jej nie mogli wymazać z akt grodzkich. Nie dość na tem, okazali tyle, że wyznaczona do sprawy Akademii deputacja zmieniała wstawkami na sesjach ów projekt, a nadto niejaki Raczyński zfałszował go w druku. To też zgryziony Sniadecki pisze: „Co mnie najwięcej trapi i czego sobie nie mogę darować, jest to, że tyle porobiwszy rzeczy i tyle złamawszy kabał, nie zapobiegłem temu, aby Raczyńskiemu ten projekt nie był powierzony w druku. Ale cóż, kiedy przy mnie wezwał go król, i on zaprzysiął się królowi, że już słowa nie odmieni, a przecie tego nie dotrzymał; miałem go z suspicji fałszowania i korektur posadzać, już i tak rozdartego w konfederacji?” Czego tylko można było śród tylu szponów, intryg i niegodziwości dokonać dla Akademii, tego Sniadecki dokonał. Słusznie też należała mu się głęboka wdzięczność Szkoły, której swoimi trudami i poświęceniem uratował niemal życie.

Spokój wszakże trwał bardzo krótko. Po zajęciu Krakowa przez Austryaków musiał znowu Sniadecki podjąć toż samo zadanie w Wiedniu, jakie spełnił w Grodnie. O tyle przynajmniej było ono łatwiejsze, że zmuszało do zyskiwania łask ludzi obojętnych, a nie pokonywania drapieżności niegodziwych. I tym razem ocalił Sniadecki swojej Akademii wszystko, co ocalić się dało. Pod koniec wszakże był już tak znużony, że wołał raczej dzielić z wszystkimi nieszczęście, niż mu zapobiegać o własnej sile. Do wyjazdu z Grodna i pobytu w Wiedniu odnosi się trzecia i czwarta grupa ogłoszonych listów.

Piąta zawiera korespondencję z Wilna, kiedy już starzec po trzydziestu przeszło latach wyczerpującej pracy opuścił Akademię Krakowską i osiadł w zaciszu na Litwie, gdzie dokończył swego pełnego chwały i trudów żywota.

Taka jest osnowa świeżo wydanych listów. Głównie, prawie wyłącznie, zajmuje on się w nich sprawami swej Szkoły Głównej. Wyłączność ta jest nawet uderzającą. Pojmujemy, że Sniadecki z obowiązku swego, pisując listy półurzędowe, nie mógł zbacać często do przedmiotów z jego rolą niezwiązanym; nie pojmujemy wszakże, jak człowiek przytomny na sądzie, który w ostatecznej instancji wyrokował o losach kraju,

jak uczonej, który w interesach politycznych przyjmował pewien udział, słowem, jak Sniadecki w Grodnie mógł być tyle obojętnym na wypadki polityczne, ile jest nim w swych listach. Robi on wprawdzie czasem o nich króciutkie uwagi, ale nie przekonywa, żeby one głęboko na niego oddziaływały. Całe szczęście lub nieszczęście kraju zacieśnia się w jego umyśle do szczęścia lub nieszczęścia Krakowskiej Akademii. Wiele noce nie przespał zmartwiony jej klęskami, ale ani jednej zmartwiony klęskami kraju. Nietylko czasem jest zupełnie obojętny na zdarzenia wiekowego smutku, ale nawet gniewa się na „bałamuctwo” sejmu, które mu opóźnia zakończenie szkolnego interesu. Jak bezwrażliwym jest na poezję, nazywając czytanie Waltera Skota i Byrona „literackim próżniactwem”, tak zdaje się być bezwrażliwym na przewlekane sejmowe w rzeczach politycznych, które nazywa „bałamuctwem”. W najbardziej gorączkowym zajęciu pamięta o astronomicznych obserwacjach i „trapi się”, że ich nie można wykonać, ale nie trapi się wcale losami kraju. Dość przeczytać list pisany 4 września 1793 roku z Grodna, ażeby utworzyć sobie wyobrażenie o politycznym stępieniu Sniadeckiego. Na drugi dzień po wzruszającej scenie sejmowej, Sniadecki, odesławszy przyjaciela po nowiny do gazet, donosi mu, że „się gotuje na obserwację zaćmienia słońca”. „Niezmiernie jestem zatrudniony — powiada — bo król do nas jeździ i gadamy o astronomii teraz, właśnie też o nas (sprawach Akademii) nie było czasu myśleć dla interesów pruskich, teraz trzeba będzie chodzić po zaćmieniu, bo też rząd (ustawa formy rządu) wejdzie na stół. *Nic tu nowego nie masz*”. Oto jest wymowna próbka siły wrażliwości Sniadeckiego na wypadki polityczne. Daleko więcej chodzi mu o to, ażeby Akademię w szpitalu „baby nie bruździły”, ażeby profesorowie otrzymali swoje pensye, niż żeby państwa ościenne od swych żądań względem kraju odstąpiły. Przyszłość narodu jest dla niego przyszłością Szkoły Głównej.

ny sędziemu, sędzia również zatwierdzenia odmówił, dając za przyczynę, iż z aktu nie widzi, czy i w jakich częściach spadku spadkobiercy zostali zatwierdzeni.

Postąpienie takie sędziego pokoju, usprawiedliwić się nie daje. Artykuł 27 prawa o wprowadzeniu do nas ustawy notaryalnej nie upoważnia sędziego pokoju do pilnowania praw osób trzecich i wkłada nań obowiązek przestrzegania tylko, czy względem poprzedniego właściciela nie istniał zakaz sądowy zbywania nieruchomości.

Skutkiem takiej nieznamośności prawa ze strony sędziego pokoju, akta nie zostały zatwierdzone i tem samem nie pozyskały mocy obowiązującej, a sporządzający je rejent jak i strony postawieni zostali w prawdziwie trudnym położeniu. Rejent sporządził akt dobry, a mimo to naraził strony na zawód i koszta, bo pobrał od nich znaczne opłaty stemplowe i notaryalne, strony zaś bez własnej winy nie osiągnęły zamierzonego skutku.

Następstwa takiego działania nie mogą być pomyślnie dla interesu stron i tem samem dla ekonomicznego bytu kraju; powaga sędziów pokoju silnie na tem cierpi, a z nią i powaga całego sądownictwa.

W interesie więc, — kończy *Gazeta sądowa* — utrzymania powagi tej, podnosimy głos w celu zwrócenia baczonej uwagi na sędziów

pokoju, na ich uzdolnienie prawne i na sposób wykonywania włożonych na nich obowiązków.”

Za nadto te wypadki są częste, ażeby wyższe władze nie zwróciły na nie uwagi.

Czytamy w Nowinach: „W ubiegły wtorek obchodzono u nas powszechnie dzień *Przemienienia*. Zarówno miejskie jako i wiejskie roboty stanęły; tysiące rąk oderwało się od pracy; karczmy i szynki zapełniły się świętującym ludem. Wprawdzie kalendarz katolicki nie uznaje dnia tego za uroczysty, zwyczaj jednak wprowadził święcenie jego — bezrobociem. Podobnych świąt zwyczajowych mamy u nas mnóstwo. Obok ogólnokrajowych, obchodzonych zwykle wszędzie, są jeszcze parafialne, dyecezyjne i t. p., przywiązane tylko do pewnych miejscowości lub okolic. Są święta takie obchodzone bezrobociem całodziennym, — są także półdniowem tylko czczone próżnowaniem. Święta te przypadają po większej części w miesiącach letnich t. j. w porze, kiedy i tak już uroczystości kalendarzowych jest znaczna liczba i kiedy dzień każdy, dla wszelkich robót, a dla rolniczych w szczególności, jest arcy drogim. Zdarza się też często, że z powodu świętowania przez ludność wiejską jakiegoś *Palikopy*, zboże wśród najpiękniejszej pogody pozostaje na

polu, a na drugi dzień moknie na deszczu. Nie potrzeba zdaje się wykazywać, ile szkody moralnej i materialnej przynoszą krajowi takie bezrobocia. W połączeniu z licznymi odpustami, pielgrzymkami i jarmarkami, stanowią one istną plagę pod względem zarówno ekonomicznym jak i obyczajowym. Dość przypomnieć, że wszelkie święta przepędzają nasze klasy pracujące po większej części w szynku na pijatyce, pochłaniającej ciężki ich zarobek i że najczęściej dzień następujący po święcie jest również dla pracy stracony. „Im więcej pracy, tem mniej grzechów,” powiedział Napoleon I, gdy go nakłaniano do wydania zakazu naruszenia niedzieli. Jeżeli gdzie, to u nas należałoby prawdę tę głęboko wszczepić w umysły ludności i ograniczyć znacznie liczbę dni na próżnowanie obracanych. Zaradzić złemu, o którym mówimy, bardzo trudno. Wprawdzie duchowieństwo, przeniknione duchem obywatelskim, mogłoby wywrzeć stanowczy wpływ na zaniechanie świątowań bezcelowych i szkodliwych, z tej strony jednak trudno oczekiwać na pomoc skuteczną. Jedyna nadzieja pozostaje w oświacie, która jasnymi promieniami swemi rozproszy z czasem pomrok umysłową ludu i wiele zgubnych wykorzeni przesądów.” Przedmiotu tego kilkakrotnie dotykaliśmy.

PANI GERARD,

przez
EMILĘ ZOLE.

Pani Gerard jest wdową. Mąż jej, którego straciła przed ośmiu laty, był sędzią. Należy ona do wyższego mieszczaństwa i posiada dwumilionowy majątek. Ma troje dzieci, trzech synów, którzy po śmierci ojca otrzymali w spadku po pięćset tysięcy franków. Lecz synowie niepojętym sposobem wyrosli w tej surowej, chłodnej, urzędniczej rodzinie na trzpiotów i marnotrawców. W ciągu kilku lat każdy z nich roztrwonil swe pięćset tysięcy franków. Starszy, Karol, zapalił się do mechaniki i puścił olbrzymie sumy na niemożliwe wynalazki. Drugi, Jerzy, stracił wszystko na kobiety; trzeciego, Maurycego, okradł przyjaciel, z którym zamierzał zbudować teatr. W obecnej chwili wszyscy trzej mieszkają u matki, która zgadza się ich karmić i utrzymywać, lecz przez ostrożność nie rozstaje się nigdy z kluczami od szafy.

Rodzina ta zajmuje obszerne mieszkanie przy ulicy Turenne w Marais. Pani Gerard ma lat sześćdziesiąt ośm. Wraz z wiekiem rozwinęły się u niej rozmaite manie. Żąda, aby w jej mieszkaniu panował klasztorny spokój i klasztorna czystość. Jest skąpą. Sama rachuje kawałki cukru, sama sprząta rozpoczęte butelki, sama wydaje bieliznę i naczynia kuchenne, w miarę potrzeby. Synowie, rozumie się, bardzo ją kochają; wywiera na nich — pomimo ich trzydziestu lat i trzpiotowatości — silny wpływ. Lecz gdy zostanie sam na sam z tymi trzema bałwanami, doświadcza jakiejś dziwnej trwogi; wciąż się obawia, że zażądają od niej pieniędzy, a ona nie będzie umiała odmówić. Dla tego też zamieniła wszystkie swe kapitały na własność nieruchomą: ma trzy domy w Paryżu i kawały gruntu koło Vincennes. Majątek, tak ulokowany, sprawia jej wiele kłopotu, jest jednak spokojniejszą, ma bowiem powód niedawania synom naraz za dużo pieniędzy.

Karol, Jerzy i Maurycy objadają matkę jak mogą. Mieszkając u niej, kłócą się o każdą drobnostkę, wyrzucają sobie każdy kawałek. Ponieważ wiedzą, że po śmierci matki będą bogaci, to im wystarcza na uspra-

wiedliwienie swego próżniaczego życia. Chociaż o tem nie mówią, lecz ciągle myślą, jak wypadną działy; jeśli się nie zgodzą między sobą, trzeba będzie sprzedać majątek, a jest to zawsze rujnująca operacja. Przemysłiwą więc nad tem bez złych myśli, po prostu dla tego, iż należy wszystko przewidzieć. Są to wesołe, dobroduszne, poczciwe, w politem znaczeniu tego wyrazu, chłopaki; wszyscy trzej życzą sobie, by ich matka jak najdłużej żyła. Czekają, ot i wszystko.

Pewnego wieczora pani Gerard zrobiło się niedobrze gdy wstawała od stołu. Synowie poczekali póki się matka nie położyła. Zostawili ją z młodszą, gdyż zapewniła ich, że jej lepiej, że ma tylko silną migrenę. Lecz na drugi dzień staruszcze zrobiło się gorzej, a zatrwożony lekarz domowy zażądał konsultacji. Pani Gerard czuje się bardzo źle. I oto w pokoju chorej rozgrywa się dramat.

Pierwszą jej myślą było zażądać kluczy i schować je pod poduszkę. Chce ona, niewstając z łóżka, rządzić domem i ocalić swe szafy od grabieży. Szarpie ją straszna walka, gryzie męczący niepokój. Trzej synowie stoją przy niej, a ona bada ich twarze mętnym spojrzeniem i czeka natchnienia.

Pewnego dnia Jerzy wzbudza w niej więcej zaufania. Przywołuje więc go skinieniem i mówi półgłosem:

— Oto klucz od kredensu, weź go i wyjm cukier... Lecz pamiętaj zamknąć i klucz mi zwrócić.

Następnego dnia nie dowierza już Jerzemu, śledzi oczyma najmniejszy jego ruch, jak gdyby się obawiała, żeby nie schował do kieszeni drobnostek, stojących na komini. Woła więc Karola i szepcze wręczając mu klucze:

— Młodsza pójdzie z tobą; uważaj jak będzie wyjmowała prześcieradła i sam zamknij szafę.

Podczas konania najwięcej ją męczy myśl, iż nie będzie mogła sama dozorować wydatków domu. Przypomina sobie szaleństwa popełnione przez synów, olbrzymie sumy, jakie daremnie wyrzucili. Wie, że są leniwi, lekkomyślni i marnotrawni. Dawno już straciła dla nich wszelki szacunek, gdyż nie urzeczywistnili ani jednego z jej ideałów i wciąż obrażają jej uczucia oszczędności i porządku. Czuje tylko dla nich pewne przywiązanie, które ją skłania do pobłażliwości na przywary. W jej błagającym spojrzeniu można wyczytać, iż prosi na wszyst-

ko, co jest im święte, by pozwolili jej umrzeć spokojnie, zanim zaczną grabić kufry i dzielić między siebie jej mienie. Podział za życia rozbiłby serce umierającej sknery.

Karol, Jerzy i Maurycy są dla niej bardzo dobrzy. Zmieniają się kolejno, by ani na chwilę nie zostawić samej. Szczere ich przywiązanie do niej przejawia się w najdrobniejszych usługach. Lecz fatalnem zrzędzeniem wnoszą oni z sobą lekkomyślność zewnętrznego świata, zapach wypalonego cygara, zajęcie się nowościami, które krążą po mieście. Egoizm chorej cierpi na tem, iż nawet w chwili śmierci nie pochłania ona wszystkich myśli swych dzieci. Następnie w miarę straty sił niedowierzanie sprowadza naprężone stosunki między matką a młodymi ludźmi. Gdyby nawet nie marzyli o bogactwie, które odziedziczą, to ona sama, broniąc tak zajadle do ostatniej chwili każdego żdźbła, naprowadziłaby ich na tę myśl. Tak badawczo patrzy i z takim strachem w spojrzeniu, iż nareszcie ich to mięsza i zmusza do odwracania głowy. Wtedy zdaje jej się, iż czekają jej śmierci. Rzeczywiście myślą o tem. Ona im sama przypomina swem niemym pytaniem, zawartem w spojrzeniu. Ona sama zapełnia ich duszę chciwością. Gdy zauważy, iż który z nich się zamyslił, pyta go:

— Chodźno do mnie... O czem myślisz?

— O niczem, mamó.

Lecz zdrażał przy tem. Wtedy ona, zwolna kiwając głową, dodaje:

— Dużo wam kłopotów sprawiam, moje dzieci. Miejcie cierpliwość, nie trwóście się; niedługo umrę.

A synowie otaczają ją, przysięgają, że kochają i do zdrowia przywrócą. Ona odpowiada upartem przeczeniem głową i jeszcze silniej nie dowierza. Straszne to konanie, zatrute pieniędzmi. Choroba trwa trzy tygodnie. Już pięć razy odbyła się konsultacja, na którą największe znakomitości medyczne były zawezwane. Młodsza pomaga synom pielęgnować matkę, lecz pomimo wszelkich starań pewien nieporządek panuje w pokoju.

Nie ma już nadziei wyzdrowienia, doktor zawiadomił, że chora może lada chwila umrzeć.

Pewnego poranku, synowie myśląc, że matka śpi, rozpoczynają rozmowę o kłopotach majątkowych. Nastąpił piętnasty lipca. Matka miała zwyczaj sama odbierać komorne od lokatorów, a teraz synowie nie wie-

W kronice śmierci zapisać nam wypadła imię Stanisława Strojnowskiego, zasłużonego pracownika na niwie geografii, który w tych dniach pomnożył liczbę ofiar co rok pochłanianych przez Wisłę w porze kąpielowej. Zmarły odbywał niegdyś nauki na Uniwersytecie Kijowskim, gdzie zajmował się studiami w zakresie późniejszej specjalności swojej. W r. 1856 wydał swoją geografję, która jest pierwszą w naszym języku oryginalną pracą, posiadającą wartość naukową.

Porzucając dawniejszy ciasny polityczno-dziejowy pogląd na tę naukę, Strojnowski oparł ją na wszechstronnem opisanu ziemi pod względem przyrodniczym, etnograficznym i dziejowym i stworzył pracę, która w dziejach nauki naszej wcale wydatne zajęła stanowisko. Zmarły pisał potem dosyć w kierunku historycznym i literackim, rozmaite studia i artykuły dziennikarskie, które jednak mniejszą już mają wartość. Ostatnią jego pracą była książka dla młodzieży *Ziemia i jej mieszkańcy*, bardzo dobrze i zajmująco ułożona.

Zdarzyła się przyjazna okoliczność, z powodu której prawomyślni dziennikarze mogli u nas złożyć publiczny egzamin z moralności. Od pewnego czasu, gdy spekulacja na puryzm weszła w zwyczaj w dziennikar-

skim świątku, każdy „nasz zacny”, „nasz ceniony” i „nasz utalentowany” smarownik dziennikarskiej bibuły poczuwa się do obowiązku odezwać się katońskim tonem przy lada okazji. Niedawno przedstawiona na letniej scenie komedia pp. Hennequin i Najac *Pieszczoszek* (Bébé), należąca do swawolnych i lżejszych plodów komicznej muzy francuzkiej, ściągnęła na siebie z tego powodu pioruny wielu zoilów, którzy wystąpili w roli wartowników moralności publicznej. Gdy jednak komedia ta obiegła deski wszystkich europejskich teatrów, gdy w Paryżu znany pogromca operetek p. Sarcey oddawał jej pochwały, gdy nareszcie nawet purytański Kraków bawił się wybornie na jej przedstawieniu, wytaczać procesu reżyserji naszej nie będziemy.

I w życiu i na scenie są chwile, gdy człowiek doprawdy bez grzechu może przeciwieśposwolić sobie trochę w kompanijce wesołych kamratów i światowców z kawalerską swobodą. Wprawdzie dla uszu niewiniątek, pensyonarek, dewotek lub świętoszków, niejedyn koncept tłusciutki w tej sztuce będzie kamieniem obraży, wprawdzie niejedn a nadto podkasana scenka swawolnej kokieteryi może wywołać „shoking” świętego oburzenia, ale zważyć trzeba, że teatr nie jest pensjonatem ani kościołem, że chodzą tam także ludzie, którzy przedewszystkiem

pragną się rozerwać. Zresztą niech wybaczą koleżkowie szanowni, ale czytając ich gorące oburzenia, które wobec naszych męskich gustów są zawsze cokolwiek „fabrykowane”, przypominamy sobie dowcipne słowa Heinego o tych, co namawiają do wody, a sami piją wino. O samej farsie, jako utworze sztuki, nie można powiedzieć wiele. Jest to z szalonym sprytem francuzkim przyrządzone pêle-mêle sceniczne, pełne życia, humoru, ruchliwe, żwawe, wyiskrzzone istotnym dowcipem, doprawione w miarę pikantym sosem, obfitujące w efekta często niepospolitej komicznej siły.

Reżyserja, wystawiając tę sztukę, dowiodła, że w kwestjach puryzmu nie lęka się gderań naszej prawomyślnej krytyki; warto aby podobną cywilną odwagę okazała w kwestjach poważniejszych, względem sztuk, których nastroj myślowy nie licuje z duszną atmosferą naszego pomniczego partykularza.

W wykonaniu tej sztuki trzymali prym pp. Ostrowski, Rapacki i Szymanowski, którzy nawet sensatów mogli pobudzić do szalonego śmiechu.

Naspiewawszy się do syta i nasłuchawszy hucznych oklasków p. Zakrzewski pożegnał nareszcie Warszawę koncertem, ale upały lipcowe sprawiły to, że stosunkowo niewielka ilość zwolenników jego talentu

dają, w jaki sposób te pieniądze wydobyć. Stróż przychodził po rozkazy. Nie mogą w chorobie mówić o interesach, a tymczasem w razie katastrofy pieniądze będą potrzebne na pogrzeb.

— To mała rzecz! — mówi Karol półgłosem. Zajdę, jeśli chcecie, do lokatorów... Wejdą w nasze położenie i zapłacą.

Lecz Jerzemu i Maurycemu propozycja ta nie przypada do smaku. Nie dowierzali.

— Moglibyśmy ci towarzyszyć — powiada pierwszy. Wszak wszyscy trzej mamy wydatki.

— No, to też ja wam oddam pieniądze... Czy sądzicie, że z niemi ucieknę?

— Nie, ale lepiej pójdziemy we trzech. Jakoś to prawidłowiej.

I rzucają przytem na siebie spojrzenia, w których przebija się upór i chciwość. Spadek czeka ich lada chwila, a każdy pragnąłby lwią część otrzymać. Karol głośno wypowiada tajemne myśli braci.

— Słuchajcie, sprzedajmy wszystko, to będzie lepiej. Jeśli się już teraz kłócimy, to później chyba gryźć się będziemy.

Nagle chrapanie umierającej zwraca ich uwagę. Matka podniosła się blada, drżąca, z błędnym spojrzeniem. Słyszała ich, wyciąga kościste ręce i powtarza przestraszonym głosem:

— Dzieci moje, dzieci...

Wtem konwulsyjnie pada na poduszkę i umiera ze straszną myślą, że dzieci ją grabią.

A oni przerażeni padają przy łóżku na kolana. Całują ręce nieboszczki i z płaczem zamykają jej oczy. W tej chwili młodość budzi się w ich sercu i czują tylko jedno, że osierocieli. Lecz straszna śmierć matki wywołuje w ich duszy wzajemną nienawiść. Wraz z bogactwem zostawiła im złość i chciwość w spadku.

Służąca ubiera umarłą. Posyłają po zakonnicę do czuwania przy trupie. W tym samym czasie synowie biegają za interesami; trzeba przecież ogłosić o śmierci, obstałować zapraszające bilety i wydać rozporządzenia co do pogrzebu. W nocy zmieniają się kolejno i wraz z zakonnicą czuwają. W wielkim pokoju przy spuszczonej roletach zmarła leży na łóżku z rękami złożonymi na krzyż i z srebrnym krucyfikssem na piersi. Obok pali się woskowa świeca. W kropielnicy ze święconą wodą stoi gałązka. Noc przechodzi, następuje chłodny pora-

nek. Zakonnica prosi, by jej dali mleka, gdyż czuje się omdlałą.

Mieszkanie jest na pierwszym piętrze, więc tłum zapelnia schody na godzinę przed pogrzebem. Na szczęście w domu jest wielkie podwórko, które zaproszeni zajmują, oczekując ceremonii. Drzwi obite czarnym sukniem, obszyte białą taśmą. Trumna stoi jak w niewielkiej kaplicy, otoczona woskowymi świecami, a na niej dwa olbrzymie wiązki z naturalnych kwiatów. Każdy przychodząc, bierze kropidło i kropi ciało święconą wodą. O godzinie jedenastej występuje orszak. Synowie nieboszczki idą na czele. Między obecnymi wielu członków sądu, kilku bogatych przemysłowców, cały tłum statecznych i poważnych mieszczan, posuwających się miarowym krokiem i z ukosa spoglądających na ciekawych, którzy szeregiem stanęli na trotuarach. Orszak zamyka się dwunastu zamkniętymi karetami. Wywołują one w rachujących je widzach wielkie wrażenie.

A tymczasem obecni litują się nad Karolem, Jerzym i Maurycem; ci ostatni we frakach, czarnych rękawiczkach, idą za trumną z zaczerwienionymi od łez oczami. Wszyscy przyznają, iż dobrze się rozporządzili i wyprawili matce suty pogrzeb. Karawan trzeciej klasy; obliczają, że wszystko będzie kosztowało kilka tysięcy franków. Jeden stary notaryusz zauważył z ironicznym uśmiechem:

— Gdyby pani Gerard sama zamówiła sobie pogrzeb, zmniejszyłaby ilość karet przynajmniej o połowę.

W kościele drzwi obite sukniem, grają organy, ksiądz parafialny odprawia nabożeństwo żałobne. Trwa ono trzy kwadransy. Obecni, przechodząc koło ciała, znajdują trzech synów, stojących rzędem, każdy z nimi się żegna, kto nie może odprowadzić nieboszczki na cmentarz. Przez dwadzieścia minut stoją oni z wyciągniętymi rękoma, ściskając dłonie przyjaciół, których wcale nie poznają. Kłaniają się, mrużąc coś, przygryzając usta i wstrzymując się od łez. Czują wielką ulgę, gdy nareszcie kościół się opróżnia i gdy znów zwolna kroczą za trumną.

Grób rodziny Gerard znajduje się na cmentarzu Père-Lachaise, więc niedaleko od dzielnicy Marais. Wielu idzie piechotą, niektórzy siadają do karet. Orszak przecina plac Bastylli i skręca na ulicę la Roquette.

Przechodnie podnoszą głowy, zdejmują kapelusze i czytają literę G, wyszytą srebrem na draperii karawanu. To bogaty pogrzeb, na który robotnicy tej ludnej dzielnicy spoglądają, zającąc kielbaski z chlebem.

Wszedłszy na cmentarz, orszak zawraca na lewo i jest już u grobowca, w rodzaju gotyckiej kapliczki, z wyciętymi na frontonie słowami: *Rodzina Gerard*. Żelazne, wyrzynane drzwi, otwarte na oścież; widać przez nie ołtarz, na którym palą się woskowe świece. Inne grobowce w tym samym rodzaju, rozstawione w równych odległościach tworzą zaułki. Można by pomyśleć, że to wystawa magazynu mebli, ze świeżo wykończonymi i symetrycznie rozstawionymi szafami, komodami i biurkami. Obecni są roztagnieni, zajęci cmentarną architekturą i szukają cienia. Jedna dama poszła zachwycić się wspaniałym krzakiem róży, który, jak pachnący bukiet, wyrósł na sąsiedniej mogile.

Tymczasem opuścili trumnę już do sklepienia, ksiądz czyta ostatnie modlitwy, a grabarze w niebieskich kurtkach oczekują o kilka kroków dalej. Synowie szlochają, wlepiwszy wzrok w sklepienie, z którego zdjęto ruchomą płytę. Tam, w tem chłodnym miejscu i oni kiedyś spoczną. Przyjaciele oddalają ich, widząc zbliżających się grabarzy.

W dwa dni później na zebraniu u notaryusza nieboszczki matki sprzeczą się oni ze ściśniętymi zębami i suchymi oczami, z zawziętością nieprzyjaciół, którzy postanowili nieustąpić sobie ani szeląga. Interesem ich byłoby poczekać i nie spieszyć się ze sprzedażą majątku. Lecz wypowiadają sobie prawdę w oczy; Karol wszystko puści na wynalazki; Jerzego napewno ogołoci jakaś dziewczyna, a Maurycego niezawodnie wciągnie kto w jakieś przedsięwzięcie, które pochłonie kapitały. Daremnie notaryusz stara się ich skłonić do polubownej zgody. Rozchodzą się, grożąc sobie wzajemnie sądem.

Obudziła się w nich nieboszczka z jej skąpstwem i obawą grabieży. Gdy przyczyną śmierci były pieniądze, śmierć rodzi niesnaski i nad mogiłą powstaje walka.

przyszło na to pożegnanie. Artysta ten, nader bogato obdarzony od natury, zyskał prawdziwą sympatyę melomanów warszawskich, którzy zbiegali się tłumnie do teatru letniego, aby usłyszeć jego istotnie wspaniałe wysokie tony. P. Zakrzewski jest rzeczywiście śpiewakiem nie tylko utalentowanym ale bardzo wygodnym dla każdej sceny, gdyż może śpiewać wszystko. Począwszy od partyi lżejszych, lirycznych jak Alfred we *Violecie*, aż do forsownych jak *Trubadur* lub *Raul* w *Hugonotach*, głos jego giętki, wytrzymały, może wyrazić zarówno liryczną śpiewność jak i dramatyczną siłę. Wolumin głosu p. Z. nie był dość wielki, średnie jego tony brzmią dość cienko, ale obszerna skala głosu i jego niezwykła naturalna giętkość, przesłizne piano i świetne atakowanie najwyższych tonów rejestru tenorowego, nadawały śpiewom młodego artysty powab niezwykle pociągający. P. Zakrzewski jest od natury świetnie obdarowanym, gdyż głos jego chociaż widocznie okazuje pewien brak ściśle metodycznego wyrobienia, jednakże pokrywa niektóre trudności, na jakie nasi śpiewacy niełatwo zdobyć się mogą po całych latach pracy.

Oprócz tego p. Zakrzewski posiada naprawdę artystyczne poczucie, nie należy do tak czystych niestety operzystów, których jeden z krytyków francuskich nazwał tyl-

ko „śpiewającym gardłem.” Nie znaczy to bynajmniej, aby zarówno pod względem technicznym jak i artystycznym p. Zakrzewski był już chodzącą doskonałością, owszem śpiew jego zyskałby wiele, gdyby umiejętność dała mu prawdziwie znakomitą pod każdym względem metodę, akcja także wymaga dużo pracy i pozbycia się drogowaskawych ruchów. Usterki te jednak przy dobrej praktyce i studyowaniu dobrych wzorów dadzą się łatwo usunąć, a jeśli dzisiaj p. Zakrzewski jest śpiewakiem bardzo sympatycznym, zajmującym, to z czasem może się wdrzeć na wyżyny jeśli nie pierwszorzędnej potęgi, to niewątpliwie znakomitości. Dla tego też pragniemy, aby spełniło się dla dobra naszej sceny owo życzenie, które p. Zakrzewski z widoczną aluzją do sympatycznie żegnającej go publiczności wypowiedział w piosnce: „do zobaczenia!!!”

Na scenach ogródkowych popisywało się ostatnimi czasy kilku oryginalnych dramaturgów.

Pan Szober, autor *Podróży po Warszawie*, ukazał nam swoją, a raczej pożyczaną z niemieckiego *Modniarkę*, którą tylko, jak to wyznaje, ubrał w warszawskie sukienki. Jejmość ta z Niemiec przyjechała do nas bardzo... niemądrą, p. Szober zrobił ją trochę weselszą, tak, że wesoły ludek, bawiać

się doskonale i słuchając z przyjemnością kupletów i conceptów, zapomina o wielu grzeszkach przeciwko logice, dozwolonych zresztą humorystycznym farszom.

Na scenie poznańskiej po raz pierwszy ukazała się także *Złocona gwiazda*, nowy plód hrabiowskiej dramatycznej muzy. Autor jej szturmował już do parnasu wierszowaniami komediami i lirykami, które miały czasem pewną gładkość formy nieokupującej innych, a nader licznych literackich grzechów. *Złocona gwiazda* także należy do dyletanckich widocznie robót pod względem pomysłu i sceneryi, ale posiada trochę dowcipu i werwy, które przy dalszej scenicznej praktyce mogą się jeszcze bardziej rozwinąć, jeżeli zwłaszcza autor potrafi nadawać swoim figurom więcej krwi i kości, a nie czynić ich zlepkami frazesów.

LISTY Z WŁOCH.

III.

Comitato in pró dell' Italia irredenta.—Jego początek—połączenie z radykalistami włoskimi.—Republikański kongres w Rzymie.—Zdanie o nim ministra Cairolego.—Meeting w Neapolu.—Demonstracje anty-austriackie w Wenecji.—Zaburzenia w Rzymie i Florencji.—Kto jest istotnym maszynistą ruchu.—Jezuici włoscy.—Służba pałacu watykańskiego.—Okólnik kardynała Franchi.—Przeciwnicy gabinetu.—O co chodzi?—Odkrycia Crispiego w Riformie.—Co o tem myśli ogół?—Przyszła wystawa powszechna w Rzymie.—Dzieło belzebuba wkracza na święte terytorium.—Wartość pomysłu.—Turystyczna wartość Włoch.—Taniósć kolei żelaznych i życia we Włoszech.—Pożytek dla nas zapoznania się z Włochami.

Włochy się burzą, agitują, demonstrują! Włochy niepokoją siebie i sąsiadów, zagrażają nowymi awanturami, może nową wojną i to w chwili, gdy świat zabiera się z uroczystą powagą do używania owoców upragnionego pokoju. Czy apetytowi Włoch na „cudze“ nigdy nie będzie końca, czy polknąwszy a „niestrawiwszy“ tyle księstw, Państwa Kościelne i Królestwo Obojga Sycylii—Włochy nie mają już dosyć? Czyż mało im „szczęście“ sprzyjało, że pragną nową burdą kusić miłośnierze niebios a „bezczelnie“ upominają się o Trientino, Tryest, Sabaudję, Nizzę, Maltę— to jest ni mniej ni więcej tylko tyle, co z praw narodowości stanowi niezaprzeczną ich własność?

Oto krzyk „oburzenia“, oto skarga „sprawiedliwa“—jakie się codziennie wnoszą ze szpalt dzienników ultramontańskich, zachowawczych lub rządowo inspirowanych w całej Austrii, Niemczech, Francji i Anglii. Istotnie, w chwili kiedy bezinteresowny Albion otrzymuje panowanie nad Azyą Mniejszą, a czarno-żółte chorągwie Hauburgów zatykają się na brzegach Egejskiego morza, kiedy francuzkie orły błysną lada moment protektoratem po nad Tunisem—istotnie Włochy, wnoszące głos za swymi braćmi z tamtej strony Issonzo lub Alp—są „bezczelne“ i zasługują na surową „karę“, którą Opatrzność za pośrednictwem białokurtkowej cesarsko-królewskiej austriackiej i czerwono-szarawarowej republikańsko-francuzkiej armii wymierzyć im nie omieszka. Przedewszystkiem zaś należałoby wywieszać dla „sprawiedliwości“ i „dobra Pana Boga“ tych niepoprawnych członków Comitato in pró dell' Italia irredenta, oni to bowiem swemi piekielnymi machinacjami dali pierwsi hasło tak niebezpiecznych dla spokoju Europy zamiarów i ruchów. Lecz co to jest właściwie ów „Comitato“ Włoch nieoswobodzonych, niewyzwolonych? Początek tego „przeklętego“, jak ultramontanie zwykli się wyrażać, dzieła pochodzi od Garibaldegó. Sędziwy pułkownik pisał jeszcze przed rokiem do Zamaniego z Kaprery o obowiązku Tryesteńczyków i Trydencieńczyków stosownego przygotowania się na godzinę wyzwolenia, która daleką być nie może. List ten, przedrukowany we wszystkich niemal dziennikach, spowodował z jednej strony znane demonstracje z chorągiewami Tryestu i Trydentu przy każdej uroczystości Włoch występującymi wspólnie, oraz z drugiej założenie stowarzyszenia aneksyjnego, którego głównym kółem była młodzież emigrująca z włoskich prowincji Austrii. Naturalnie na początek postarano się o założenie dziennika (*Italia degl' Italiani*), któryby cele stowarzyszenia popierał i obrabiał, oraz o połączenie swych usiłowań z kółami włoskich radykalistów. Pierwszym śladem związku komitetu Włoch niewyzwolonych z republikańskimi było wystąpienie wielu mówców na sławnym kongresie republikańskim, jaki się swobodnie odbywał w Rzymie między 30 kwietnia i 2 maja roku bieżącego. Rzeczywiście ciekawy to był widok ciała,

obradującego spokojnie nad formą rządu przeciwną tej, jaką Włochy z królem Humbertem i dynastją Sabaudzką na czele, posiadają. Fakt taki mógł mieć miejsce tylko w narodzie, w którego polityczny rozum władza wierzy i gdzie poszanowanie swobody w krew już się wszczepiło. Kiedy w izbach atakowano o to ministra Cairolego, odpowiedział on temi słowy: kraj nasz i społeczeństwo znajdują się w tem dobrem położeniu, iż nierozsądne wyrazy, jakich używali niektórzy mówcy kongresu republikańskiego, pozostaną bez następstw. Większa daleko szkodaby wynikła, gdyby władza, nie mając do tego zasady w prawodawstwie istniejącem, samowolnie chciała ograniczyć swobodę zgromadzeń. Istotnie, rząd królewski, zachowując się obojętnie względem rzekomych republikańców, o wiele zmniejszył doniosłość ich kongresu. Ludność tak mało się nim zajmowała, iż gdyby nie dzienniki, niktby o jego istnieniu w Rzymie nie wiedział. I fakt pewno przeminąłby utopiony w morzu niepamięci, gdyby właśnie do niego nie była się domieszała sprawa owych „Włoch niewyzwolonych“, dla których publiczność tutejsza czulsze ma serce, niż dla republikańskich teoryj. „Comitato“ też, dzięki pomocy republikańców, utworzył swe filie po różnych włoskich miastach, jak w Neapolu, Wenecji, Florencji, Velletri, Livorno, Lucca i t. d. To mu pozwoliło rozwinąć agitację na obszerniejszą skalę, ale to właśnie stało się powodem, że ruch obliczony na powolne i długie trwanie, wpadł w pułapkę, jaką na naród włoski zastawili jezuita i prawdopodobnie, jak wszelkie ruchy przedwczesne, nie wyda on pomyślnych rezultatów. Czy to z inicjatywy własnej, czy prawdopodobnie z cudzej zrzeczenie podsunętej podmywy, komitet postanowił szeregiem meetingów zainteresować społeczność sprawą przez siebie popieraną. Kto zna Włochy, musi przyznać, iż meetingi, zgromadzenia, kongresy są tam tak częste, iż mało kto zwraca na nie uwagę i stanowią jeden z najniewinniejszych środków agitacyjnych. To też meetingi, tak w Neapolu jak i we Florencji, oraz innych miastach Włoch przez komitet urządzone, liczyły zaledwie setki słuchaczy. Mimo to jednak spostrzeżono ze zdziwieniem, iż zgromadzenia te kończą się zawsze bardzo burzliwymi scenami, których celem znieważanie austriackich poselstw i konsulatów. Już przy pierwszym zaburzeniu w Wenecji, jakieś tajemnicze, obce komitetowi Włoch niewyzwolonych wpływy rozpuszczały między ludem pogłoski, które nareszcie do zaburzeń przywiodły. We Florencji właściwa publiczność tak mało na meeting zwracała uwagi, iż kiedy po jego ukończeniu tłum jakichś podejrzanych indywiduów szedł zrzucić herby austriackie, nie przerwało to nawet zwykłej publicznej przechadzki. W Rzymie nareszcie ze zdziwieniem w najgorliwiej hałasujących przeciw Austrii poznano przebranych członków służby watykańskiego pałacu.

Ten fakt, który skłonił nawet kardynała sekretarza Franchi do zaprzeczenia mu okólnikiem, łącznie z udziałem niektórych członków prawicy parlamentu, np. p. Roco de Zerbi, rzucił właściwie światło na całą sprawę. Jest to gra potrójna, w której nie chodzi o wygranie Tryestu lub Trydentu, ale o zupełnie inne, bliższe i łatwiejsze do osiągnięcia cele. Komitet Włoch niewyzwolonych, nawet zapaleńsi republikańscy lub agitatorowie z professyi, jak Menoti Garibaldi, są tu tylko figurantami w rękach zręcznych impresariów, którzy broją za cudzemi plecami, zrzucając całą odpowiedzialność na pierwszych i napełniają dzienniki własne i europejskie krzykami i jękami na nieprawość kardynałów. Jezuitom, którzy korzystając z obecnego smętnego usposobie-

nia, wywołanego wynikami berlińskiego kongresu, z niewielkim trudem uorganizowali dodatkową do meetingów kocią muzykę na niekorzyść Austriaków—idzie przede wszystkim o osłabienie Włoch, o pokłócenie ich z Europą, o powasnienie z Austrią, która dość niespokojnie spoziera na swe granice południowe. Od osób dobrze informowanych słyszałem, iż Włochy mają już traktat, zapewniający im Trientino i Tryest na wypadek wojny Austrii z Rosją i naturalnie udziału włoskiego w tej katastrofie... Pojmujecie niebezpieczeństwa podobnego doświadczenia, niebezpieczeństwa od strony Anglii, Francji lub nawet Austrii, gdyby ta, oparta na Niemczech wyszła z walki zwycięsko. Wtedy jezuita marzą, iż byłaby możliwa restauracja Państwa Kościelnego i sprowadzenie Włoch do stanu sfederowanego pod zwierzchnictwem papieża. Z drugiej strony różne odcienia prawicy, niereprezentowane w rządzie, oraz pp. Depretis, Nicotera i t. d., którym tęskno do tek ministerjalnych, gorliwie popierają agitację, w nadziei, iż tym sposobem obalą gabinet rządzący. Położenie bowiem tego ostatniego nie jest łatwe. Przeszłością należy do stronnictwa ruchu, do stronnictwa czynu, obecnością przedstawia różne odcienia lewicy, głośno sympatyzującej z „komitetem Włoch niewyzwolonych“. Jeżeli wystąpi z surowymi środkami dla powstrzymania ruchu, z tych samych co dziś interesowanych a niechętnych źródeł powstaną wrzaski, iż gabinet zapiera się przeszłości, zdradza własnych stronników. Jeżeli zaś dozwoli wzrastać agitacji, narazi sobie dwór ruchowi przeciwny, a co gorzej może narazić kraj na nieobliczone straty. Gabinet trudności te pojmuje: z jednej strony oświadcza, iż szanować będzie prawo wolnego gromadzenia się, a agitacje ścierpi, o ile one w granicach tego prawa będą się zawierać, ufając zdrowemu rozsądkowi ludności; z drugiej strony jednak za pomocą przyjaciół stara się odwieść stronnictwo ruchu od natychmiastowego działania, wykazując mu dla kogo istotnie pracuje. Zdaje się, że te usiłowania nie pozostają całkiem bez owocu, gdyż agitacja komitetu słabnie, zapowiedziane meetingi albo nie przychodzą do skutku, albo w takich rozmiarach, iż dla dobra samej sprawy lepiej będzie wycofać się z roboty.

Usiłowania ministerjum poszłyby daleko gładziej, gdyby nie nieszczęsne antagonizmy osobiste lub ukryte prywatne nadzieje. Gdy już burza zdawała się usmierać, p. Crispi, słusznie tu zwany „złym duchem Włoch“, wystąpił w swej *Riformie* z oświadczeniem, iż dzisiejszy gabinet nie prowadzi polityki poprzedniego, którego głową był pan Crispi. Według bowiem tej polityki, Włochy miały sobie ofiarowaną Albanię na wypadek, jeżeli Austrija skutkiem wojny wschodniej otrzyma nabytki terytoryalne. Włochy dawno się już były powinny wmięszać w sprawę turecką, ażeby za jej pomocą odzyskać, czy to drogą zamiany Albanii na Trydent, czy wprost, ziemie włoskie, pod austriackim berłem zostające. P. Crispi dowodzi, iż rola pacyfikacyjna, jaką obecnie odgrywa Austrija na Wschodzie, Włochom się należała—lecz dzisiejszy gabinet zamiast prowadzić roboty poprzednika w tym kierunku, odgrywał tylko mizerną rolę na kongresie i nic nie pozyskał dla kraju. Na te wywody *Riformy*, ministerjalny organ *Diritto* odpowiada, iż nie znaleziono śladów podobnych układów, że jest to albo tajemnica pana Crispiego, albo, co prawdopodobniej, fikcja; owszem, przeciwnie, Niemcy przez usta księcia Bismarka pouczyły Włochy, iż nigdy się nie zgodzą na oddanie tym ostatnim Tryestu, a Trientino uważają za część terytorium strategicznie koniecznego dla... Niemiec.

Tak stoi spór między różnymi żywiołami,

które czy to zasady, czy interes lub ambicja wysadzają na powierzchnię społeczeństwa włoskiego. Lecz co o tem myśli właściwie owo społeczeństwo? Ogólnie biorąc, Włosi, jak każdy naród, radziby się powiększyć tem, co uważają mianowicie za swą własność; niezbyt czuli, choć wrażliwi, niekoniecznie wierzą w „nieszczęśliwe” położenie tryesteńczyków i trydencieńczyków, ale jako patrioci z usposobienia i przez rozum, widzą potrzebę odzyskania krajów zasiedlonych ludnością włoską, bez względu czy one historycznie należały lub nie należały do Włoch. Między jednak temi uczuciami i pojęciami, którym zasady sprawiedliwej nikt uczciwy odmówić nie może — a czynem, ogromna jest różnica i ogromna leży przepaść. Wprawdzie we Włoszech, które długie lata nurtowane były spiskami, a jednak niezależność swoją zawdzięczając śmiałym partyzanckim wyprawom, jest mnóstwo ludzi, którzy w obu kierunkach nabyli uzdolnienia, przyzwyczajenia i radziby się dalej na tej drodze użytkowywać — ale ogół, ogół, troszczący się i borykający z codziennymi zycia potrzebami, trudnościami, troskami, ogół zmuszony ciężko pracować, ten ogół pragnie na teraz spokojnego używania tego, co pozyskał, co posiada. Dla tego też mniemamy, iż sztuczne agitacje dzisiejsze „Komitetu Włoch niewyzwolonych” pozostaną bez głębszego echa, bez istotnego znaczenia. Natomiast, ktoby Włochom wynalazł środki i sposoby materialnego rozwoju i dźwignięcia się finansowego, ten niewątpliwie zwróciłby uwagę tutejszego ogółu. Nic więc dziwnego, że wszystko, co się w tym kierunku agituje, silne też budzi zajęcie, a myśl urzędzenia wystawy powszechnej w Rzymie przyjęta została z ogromnym zapalem. Laury i franki, jakie zbiera Francya obecna za swą paryżką wystawę, pobudziły niepomiernie tutejsze apetyta. Niezależnie od tego trzeba wyznać, iż pomysł wystawy powszechnej w Rzymie z wielu względów należy do bardzo szczęśliwych. Wprawdzie jezuita i ultramontanizm pieniąż się będą z wściekłości, iż święto przemysłu i materialnej siły zastąpi odpustowy jarmark rzymski, ale ogół europejski wiele na tem skorzysta.

Przedewszystkiem zrobimy uwagę, iż dzisiejsze wystawy powszechne więcej niż przez swe pożytki dla przemysłu, oddają usługi jako *à propos* do podróży, do zaznajomienia się praktycznego z ludami, z ich przemysłem, sztuką, sposobem życia i t. d. Otóż pod tym względem żaden może kraj nie dostarczać tyle pożytecznego obok przyjemnego, co Włochy. Postaram się bliżej tego dowieść, tem więcej, iż mam nadzieję, że społeczność polska w razie wystawy w Rzymie weźmie liczny w niej udział, już to jako wystawca, już to jako zwiedzający.

Londyn, Paryż, Wiedeń, gdzie dotąd były główne siedliska wystaw powszechnych, są niewątpliwie olbrzymimi ogniskami życia, ale też właśnie dla tego mało dostarczały pożytku i przyjemności. Zwiedzający, dostawszy się w te morza ludzkie kipiące życiem, tonął w nich i zadawał się poznaniem tego, co mu przypadkowo pod oczy padło. Skwery, bulwary, ringi — oto jedyny świat, w którym podróżnik krążył w Londynie, Paryżu, Wiedniu. Zmęczony biegiem po wystawie, zrażony olbrzymimi przestrzeczeniami miasta, zwiedzający opuszcza częstokroć co najważniejsze, dla tego, co najbliższe, to, co istotnie ciekawe — dla tego, co się samo w oczy narzucało. Niema obawy, aby cośkolwiek podobnego spotkało w Rzymie. Tam wystawa, jak i wszystko co godne widzenia, będzie tuż pod ręką, nie nie utrudni dokładnego zapoznania się nie tylko z powierzchnią, ale i z głębią narodu włoskiego i dodamy ziemi włoskiej. Cały kraj bowiem Włoch uważać można skutkiem połączeń kolejowych za istotną okolicę Rzy-

mu. Jadąc do Paryża, Londynu, przebywa się najnudniejszą drogą, a mądry będzie, kto oprócz Wersalu wymyśli ciekawą i taną wycieczkę z tych światowładnych stolic. Tymczasem sama droga do Włoch należy do najprzyjemniejszych podróży, a bliskość Szwajcaryi ułatwia korzystanie z letnich wycieczek. Co się tyczy samych Włoch, ich turystyczna wartość nie potrzebuje być podnoszoną, gdyż powszechnie jest znana. Obecna taniość kolei włoskich jest jednym z powodów, utrzymujących ogromny ruch na tych drogach komunikacyjnych. Przybywający od strony wschodniej, wzięwszy w Wenecyi tak zwane „viaggio circolari” ważne przez ciąg 60 dni, jeździ niemal po całych Włoszech, gdyż może zwiedzić: Padwę, Bolognię, Ankonę, Pescarę, Neapol, Cassertę, Rzym, Civita-vecchie, Livorno, Pizę, Florencję. Wszystko to zaś na osobę kosztuje sto kilka franków, czyli wartość 25 do 30 rubli. Kosztuje to tak dziś, a trzeba się spodziewać, że Włosi zrobią wszystko, co możliwe, aby te ceny zniżyły i bardziej jeszcze uprzyślednić. Zresztą koleje włoskie zostają w bardzo dogodnych stosunkach co do cen z kolejami austriackimi i niemieckimi, tak iż wydawane są runderise bilety na Austryę i Włochy po niskich stosunkowo cenach. Przyjemność takiej podróży, jej ogromna korzyść nie potrzebują dowodzenia, gdyż jednostajność muzeów lub samej wystawy urozmaicaną będzie widokami natury, jakich żaden inny kraj nie dostarcza. W ciągu takiej drogi widzi się liczne i wspaniałe miasta, zapoznaje się z widokami dwóch mórz, ze światem zmarłych złożonym w wykopaliskach Pompei, Herkulanum, z obrazami najoryginalniejszego życia, jakie kipi w Neapolu, Livorno, Wenecyi, Rzymie i Florencyi; zarówno sztuka jak natura towarzyszą nam na każdym kroku. Podróż po Włoszech przy tanioci kolei nie jest również kosztowną, jeżeli się tylko umie podróżować. Przedewszystkiem trzeba sobie to przywieść na pamięć, że *lir* włoski jest to tylko 24 kopiejki srebrem, a wtedy ceny włoskie zredukujemy do właściwego znaczenia. Unikając drogich i tylko dla Anglików przeznaczonych pierwszorzędných hotelów, można mieć bardzo porządny pokój za 4 do 6 lirów, gdzie się dwie osoby wygodnie pomieszcza. Co do życia, nie trzeba zwracać uwagi na krzywienie się hotelników, wymagających, aby goście używali miejscowego *table d'hôte* i jadać na mieście, gdyż obecnie wszędzie już znajdują się restauracje urządzone na sposób niemiecki, to jest dające z karty; zresztą i stół w hotelach 4 do 5 lirów na osobę, to nie jest drogo. Włosi mają wyborne sery, doskonale owoce, świeże masła, jarzyny w przepysznych gatunkach, obfitość ryb i wytworne wędliny. — Towary włoskie tylko do oddziału przemysłu-sztuki należą, inne wszelkie są pochodzenia angielskiego lub francuzkiego; jedne i drugie przecież wyborne w gatunku i bardzo tanie. Cavour z niesłychaną bystrością pojął, iż kraj taki jak Włochy, mający do wywozu jedwab, oliwę, wino, owoce, ryby, nie potrzebuje u siebie zaprowadzać protekcji przemysłowej. Dzięki tej mądrej polityce celnej, lud dziś nie przepłaca pierwszych potrzeb do życia, wolny bowiem wstęp do kraju dla wszystkich towarów świata reguluje ceny i nie pozwala żadnemu narodowi wyzyskiwać Włochów. Stare zaś na sztuce oparte przemysły, jak lustra i szkła weneckie, mozaiki florenckie, filigrany medyolańskie, inkrustacja na drzewie z Sorentu, rzeźba na florenckim marmurze i t. d. nie potrzebują się obawiać żadnego współzawodnictwa, bo im nikt nie dorówna, jak to stwierdziła ostatnia wystawa paryżka.

Co do nas Polaków, sądzę, że korzystając z wystawy, należałoby nam bardziej niż z innym narodem odnowić stare związki

z Włochami, tak pod względem przemysłowym jak i naukowym. W pięknej Italii panuje obecnie ożywiony, liberalny ruch literacko-naukowy, który, niestety, zbyt mało jest znany, choć na blizkie poznanie szczególnie zasługuje. Lecz o tem, jak również o korzyściach handlowych stosunków z Włochami, pozostawiam rzecz do przyszłego listu.

KRONIKA LWOWSKA.

III.

Zwołanie sejmiku lwowskiego. — Manewra wojskowa i kłopoty postoju armii. — Czas sesji sejmowej. — Skutki krótkości sesji. — Projekta wydziału. — Ustawa drogowa. — Uregulowanie kopytkowego. — Nowella o kredycie towarzystw zaliczkowych i kas oszczędności. — Nowella amelioracyjna. — Cztery projekta uregulowania przemysłu naftowego. — Poprawki do ustawy gminnej. — Zjazd XII członków Tow. pedagogicznego. — Barbarzyńskie uchwały. — Szkoła. — Kwestya freblowska. — Kwestya szkół realnych. — Zamknięcie drogi na Wysokim Zamku. — Brak łazienek. — Teatr. — Niepogody. — Kwiaty brukowe.

Po nad wszystkimi wypadkami powszednio lwowskiego życia niewątpliwie górują: postanowione zwołanie na drugą połowę września sesji sejmowej i pogłoska o przyjeździe cesarza dla odbycia manewrów zgromadzić się mającego pod Lwowem wojska. To zebranie wojennych sił rakuskiego cesarstwa pod Lwowem o ile z jednej strony podsycalo najniedorzeczniejsze pogłoski, o tyle z drugiej zakłopotalo i tak skłopotane zawsze głowy naszych ojców miasta. Trzeba bowiem było pomyśleć o rozlokowaniu na kilka tygodni blisko trzydziestu tysięcy ludzi, co na Lwów, szczerlnie już dziś spakowany, jest cyfrą arcyważną. Ażeby mieszkańcom i obywatelstwu ulżyć ile możności ciężaru, proponowano rozlokować wojsko w gmachach publicznych, a między innymi i w szkołach, przez co wakacje musiano przedłużyć o miesiąc, uszczuplając i tak szczerpły czas nauki w Galicyi wschodniej, gdzie obchodzone są święta obu wyznań uwolnieniem uczniów od lekcji. Ta szkoda, którą nam zrzęda podwójność kalendarza, jeśli jeszcze będzie zwiększoną podwajaniem wakacji, wpłynąć musi bardzo niekorzystnie na nieświetny zresztą stan naszych zakładów naukowych. Względem ten, jak również uwaga na zniszczenie gmachów szkolnych przez postój wojska, przywiodły do wniosku, proponującego postawienie baraków czasowych dla armii manewrującej, baraków, których koszt wynosiłby prawdopodobnie 18,000 złr., to jest tyle, ile by wydać trzeba było na odnowienie zniszczonych gmachów szkolnych. Lecz i tutaj nowa trudność stanęła w poprzek dobrem zamiarom ojców miasta, gdyż komendantura wojskowa oświadczyła, że jeżeli baraki skutkiem niepogody podmyje woda, ona sama w mieście rozkwateruje wojsko sposobem przymusowym. Czynieć wydatek 18,000 guldenów zależnym od kaprysu pogody — nad tem warto się namyśleć. Przytaczamy te dzieje kłopotów rady lwowskiej, bo one przekonywają, jak militarizm dzisiejszy, nawet w czasie pokoju, przyjemnie się daje uczyć ludności.

Jak zaś wygląda austriacko-galicyjski parlamentaryzm — zaraz się przekonamy, nadmienając, iż trwanie obecnie zwołanej sesji sejmiku, jeśli nie zajdzie nic nadzwyczajnego, zmuszającego do zamknięcia oznaczono na trzy tygodnie. Jakkolwiek nie jesteśmy zwolennikami gadaniny, napuszonej deklamacyi, lub nieskończonych poprawek do poprawek — to jednak należy przyznać, iż ciągła od lat kilkunastu krótkość sesji sejmiku lwowskiego nie pozwala rozwinać się prawodawstwu tej prowincyi i nie dopuszcza załatwienia ustaw, od których po-

myślność kraju zależy. Wprawdzie krótkość sesyj sejmowych jest wspólna i innym prowincjonalnym obradującym ciałom państwa Austriackiego, które ograniczają się ściśle do spraw miejscowych a inne ogólniejsze rade przekazują do załatwienia wiedeńskiej Radzie Państwa—lecz Galicya w odmiennych zostaje warunkach i z tego powodu sejm miejscowy inne ma i bardzo ważne zadania, które przy krótkości sesyj a dużej gadatliwości posłów wymagają więcej czasu, niżeli go rząd udziela. Kwestya ta nie po raz pierwszy jest już poruszana; utrzymują nawet, iż hr. Alfred Potocki, dzisiejszy namiestnik, jako warunek objęcia władzy położył między innymi dłuższe sesje sejmowe. Lecz to życzenie jak i wiele innych, o których na on czas była mowa, złożone zostało *ad acta*, a sesje sejmowe ciągle się kuroczą i zostawiają tyle tylko czasu, ile go zatwierdzenie budżetu wymaga. Niektórzy utrzymują, iż gdyby nasz sejm zdobył się na energiczne postanowienie na pierwszej sesyj odroczenia zatwierdzeń budżetowych do ostatniej, jakoś wpłynęłoby to na rozszerzenie czasu pozostawionego na obrady. Jak zaś szkodliwą jest ta damoklesowym mieczem wisząca nad sejmem krótkość sesyj, dość nadmienić, iż stronnictwa niechętnie pewnym popularnym w kraju ustawom, zawsze są w stanie najblahszemi środeczkami udaremnić wniesienie lub przeprowadzenie tych projektów przez Izbę, opóźniając je tylko i odraczając aż do fatalnej godziny zamknięcia. Sama nawet praca prawodawcza w sejmie—głównie zasila czynnością wydziału krajowego, rząd bowiem i jego namiestnictwo od lat kilku żadnych do sejmów projektów nie wnosi, wykazując tem widoczne zaniedbanie i lekceważenie reprezentacji prowincjonalnej—przy najlepszych chęciach jest paraliżowaną. Dowodem tego jest ta okoliczność, iż żadna ważniejsza ustawa obszerniejszych rozmiarów przez sejm przejść nie może, a Wydział Krajowy, widząc bezskuteczność usiłowań, ogranicza się do stawiania krótkich nowellek, będących raczej doraźnymi poprawkami istniejących ustaw, niż ich gruntowną, stosownie do obecnych wymagań, reorganizacją. Tak np. wszyscy ludzie rozumni domagają się zmiany ustawy gminnej, dzisiejsza bowiem w fatalny sposób oddziaływa na stosunki społeczne i gospodarstwo krajowe—mimo to jednak trzeba się ograniczyć na łataninie, przez doraźne zmiany różnych paragrafów. Czy obecnie zapowiedziana sesja sejmowa może być i będzie obfitszą w rezultaty, bezstronny czytelnik łatwo sobie wyobrazi.

W każdym jednak razie prawodawców naszych czekają ważne prace, pod ich bowiem rozpoznaniem powróci zeszlóroczna ustawa drogowa z pewnemi, zaleconemi modyfikacyami, oraz przedstawiona zostanie ustawa regulująca kopytkowe, a to celem zużycia dochodów z tego źródła płynących na drogi i bruki wiejskie. Dotychczas oprócz Krakowa i Lwowa, gdzie koszt utrzymania dróg przenosi dochód z kopytkowego, i kilku miast, gdzie dochody równoważą się z dochodami, inne miasta i miasteczka otrzymują znaczne nadwyżki, które zużywają na obce podatki cele. Gdy zaś fundusz drogowy, przy znacznym przewyższeniu budżetu prowincjonalnego Galicyi, jest zwykle kozłem ofiarnym i ulega różnym okrojeniom, sejm przeto konserwację dróg i ich rozwój pragnie oprzeć na kopytkowym, jako na właściwym źródle podatku drogowego.

Dwa te projekta, jeżeli będą bez zbytecznej gadaniny przeprowadzone, wyczerpną seryę praw organiczną całość posiadających; inne bowiem, jak już zapowiedzieliśmy, będą większemi lub mniejszemi przystawkami do już istniejących. Tak np. nie-

zmiernie ważna dla Galicyi kwestya kredytu dotknięta zostanie tylko przedłożeniem: aby sejm zatwierdził ważność udzielania kredytu towarzystwom zaliczkowym i kasom pożyczkowym powiatowym, a to za gwarancją powiatu i pod warunkiem stosowania się do wzorowych statutów, dla takich instytucyj przez wydział sejmowy przyjętych. Również przedstawionym zostanie projekt o melioracyach, którego celem ułatwienie zaciągania pożyczek z funduszy krajowych spółkom wodnym, właścicielom gruntów dla uregulowania biegu wody niespławnej, osuszania, drenowania i nawadniania. Na polu przemysłu ma się też sejm lwowski zabrać do uregulowania górnictwa naftowego i wosku ziemnego. Czas na to wielki; ważna ta bowiem gałąź galicyjskiego bogactwa, z powodu niedostateczności praw, w wielkiem pozostaje zamięszaniu. Lecz czy do uregulowania przyjdzie?—trudno zgadnąć, bacząc, iż dotychczas ni mniej ni więcej tylko istnieje *cztery* projekta w tym względzie. I tak, jedni życzą sobie utrzymania i uprawnienia *status quo*, kiedy inni wprost przeciwnie, pragną zastosowania ustawy górnictwej do wosku ziemnego i nafty. Różnica tu leży w tem, iż uznawszy wosk i naftę za minerał, takowe mogą być eksploatowane niezależnie od właściciela gruntu, a nawet tenże może być na korzyść kopalni wywłaszczonym. Nadmieniwszy to, czytelnicy nasi łatwiej pojmą, o co chodzi obu partjom i czy przy zwycięstwie konserwatystów możliwy jest prawidłowy rozwój dla przemysłu naftowego. Trzecia partya rozdziela się właściwie na dwa odcienia, różniące się podrzędnym szczegółem co do nadzoru nad przemysłem naftowym; obie ra zaś w zasadzie drogę pośrednią, to jest nie uznając wosku i oleju za minerał, przypuszcza jednak z tego względu możliwość służebności na cudzym gruncie, a nawet wywłaszczenia na rzecz kopalni za stosownem wynagrodzeniem (5% brutto), zostawiając tylko właścicielowi gruntu pierwszeństwo założenia kopalni, tak że dopiero w rok po awizowaniu właściciela kopalnia innemu może być nadana. *Minimum* kopalni określa projekt na 1 hektar, *maximum* na 25 hektarów. Nabywanie i posiadanie kopalni zabezpiecza projekt przez ustanowienie ksiąg hipotecznych przy sądach kolejalnych. Nadzór jedni chcą oddać urzędowi górnictwemu, inni autonomicznemu, ustanowić się mającym *ad hoc* do tego przemysłu, jako czysto krajowego (?!).

Za tym projektem w głównych zarysach oświadczyła się zwołana temi czasy we Lwowie ankieta znawców, to jest przeważnie obecnych właścicieli większych kopalni naftowych. Łatwo to zrozumieć; projekt bowiem pośredni jest właściwie zamaskowanym żądaniem konserwatystów. Któż bowiem będzie robił nakłady na poszukiwania za naftą i woskiem, jeżeli po ich odkryciu i oświadczeniu chęci eksploatacji właściciel gruntu a raczej w porozumieniu z nim działający przemysłowcy będą mieli pierwszeństwo i wyzyszczą cudze odkrycie i usiłowania?! A jednak projekt ten pewno przejdzie przez sejm i wszyscy będą się nim szczycić, jako dziełem ogromnego postępu, a potem dziwić, że przemysł *de facto* na krok nie postąpił.

Wrómy jeszcze do nowellek, mających na celu zmianę pewnych paragrafów ustawy gminnej, ustawy, która ongi przez sejm będąc zawotowaną, zatwierdziła zasadę antinarodową i antiekonomiczną. W Galicyi, jak wiadomo, dwór ze swoim arealem nie należy do gminy; ten rozdział przeprowadzony w czasach, kiedy rząd austriacki usilnie starał się zastosować nieobce mu nigdy zresztą *divide et impera*, przyjęty został później, co dziwniejsza, w ustawie gminnej przez sejm lwowski, jak to powie-

dzieliśmy wyżej. Ten szczegół wystarcza do scharakteryzowania reszty całego prawa. Jakie to prawo wydaje owoce, widzimy najlepiej w chaosie, jaki panuje w administracyi gminnej. Sądzone zrazu, iż rady powiatowe i inne autonomiczne krajowe urzędy i instytucje, wpłyną korzystnie na rozwój gminy—lecz omylono się niestety i być inaczej nie mogło; jeżeli bowiem ze składu gminy wyłączono inteligentny i zamowny żywioł, jakież związek mogła mieć taż gmina z innymi organami społeczeństwa, z jego dążnościami, pracami? Obecnie Wydział Krajowy nie śmiać dotknąć zasadniczo ustawy gminnej, zniweczyć szkodliwego dla społeczeństwa, ale wygodnego dla obywateli rozdziału, wstąpił na drogę poprawek do ustawy gminnej, któremi pragnie ją podreparować i podeprzeć. Poprawki te głównie zmierzają do ulepszenia samej administracyi gminnej i żywiołów, jako organa gminne działających. Tak np. na obecnej sesyj ma być postanowioną nowella, aby pretensje pieniężne od zwierzchności gminnej, pochodzące z urzędowego jej działania, nie były dochodzone w zwykłej drodze prawa, ale w drodze administracyjnej. Celu tej ustawy łatwo się dopatrzeć, komu znane są trudności sądowej rewindykacyi należności w Austrii i kto wie, jak liczne wykroczenia przeciw funduszom gminnym popełniają naczelnicy gminy. Inna nowella zmierza do tego, aby od pisarzy gminnych, którzy tu są istną plagą, żądana była pewna kwalifikacya naukowa i żeby pisarza gminnego mogła uchylić z urzędu wyższa władza autonomiczna. W ogóle zaś, na żądanie marszałka hr. Wodzickiego, wzięto ponownie uchwalony już dwa razy, ale nie sankcyonowany przez rząd wniosek, żądający prawa egzekutywy dla władz autonomicznych.

Oto mniej więcej wszystko, co wydział i jego komisje przygotowały z zakresu prawodawstwa. Rzecz bardzo prosta, iż przyjdą jeszcze na stół sejmowy przeróżne wnioski osobiste, z jakimi tak lubią popisywać się posłowie, oraz sprawy ekonomiczne i budżetowe. Wszystko to wzięwszy pod uwagę, trudno przypuścić, aby mogło być przedyskutowane w ciągu trzech tygodni. Zauważymy też raz jeszcze, iż wszystkie powyższe projekta, z wyjątkiem ustawy drogowej, są dodatkami, że wielkie i ważne kwestje kredytu, ustawy gminnej, polepszenia losu księży grecko-katolickiego obrządku, powiększenia liczby posłów z miast i miasteczek, które nie są stosunkowo do swej siły produkcyjnej i intelektualnej reprezentowane w sejmie—nie przychodzą pod obrady już nie tylko dla braku czasu, ale i z powodu niechęci, jakie większość szlachecka żywi do ostatecznego załatwienia tych spraw. W ogóle bowiem trzeba przyjąć jako pewnik, zresztą potwierdzony przez najbardziej konserwatywne dziennikarstwo (*Czas* Nr. 175 z sierpnia), iż decydujące sfery społeczeństwa galicyjskiego nie wyszły jeszcze za ten poziom pojęć, które szlachtę, a co najwyżej większych właścicieli ziemskich, wyłącznie identyfikują z krajem, podporządkowując wszystkie interesa ekonomiczno-społeczne innych warstw pod swój własny. Wszystkie sprawy, przez sejm od lat wielu załatwiane, noszą ten charakter, albo też decydowane są połowicznie, półśrodkowo, gdy od kwestyj wywinąć się już nie można. Liberalni w słowach, aż nadto czynni na polu polityki wielkiej, państwowej, Galicyanie są zacofani i ociężali w rozwiązywaniu najdrobniejszych nawet spraw społecznych, ekonomicznych lub naukowych. A czy prawdziwy postęp w kraju może się zrodzić z czczego liberalizmu politycznego; czy zdrowie społeczne nie od rozkwitu prawnych ekonomicznych stosunków i od rozwo-